№ 17. Warszawa, dnia 25 (13) Kwietnia 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Ada nie mogła dojrzeć pokojowej, którą pani Męcka przysłać obiecywała; spiesznie więc oddawszy rzeczy posługaczowi, rzuciła wzrokiem ciekawym, i wtem, przy drzwiczkach sąsiedniego wagonu ujrzała Janusza, gdy z oddziału pierwszej klasy wyprowadzał dwie kobiety w żałobie, wielce im oddany.

To jej wystarczało. W oka mgnieniu przypomniała sobie, że panie Roger w parę tygodni po śmierci babki wyjechały do Wisbadenu; pomiarkowała, że właśnie powracają, że *on* witał narzeczoną, czekał na *nią*, dla *niej* wyłącznie tu się znalazł — i krew ogniem na twarz jej uderzyła. W duszy poczuła zrywający się uragan: zazdrość, zawiść, piekło pożądań nienasyconych i palących.

Pochyliła się naprzód i w świetle latarni zdołała uchwycić w rysach jego smutek, bladość, uśmiech głuchego poddania. Na twarzy Maryi przeciwnie: rozpromienienie wewnętrzne, jakby świetlistość, pogodę i słodycz, które na tle czarnego welonu tę „zamazaną" twarzyczkę czyniły stokroć ładniejszą niż dawniej.

Oni, sobą zajęci po stronach nie patrzyli — i we troje podążyli naprzód.

Ada cofnęła się, z oddechem w piersi wstrzymanym, i zawahała.

Wiedziała, że Janusz pojęcia nie mógł mieć o tem, iż znajdowała się obok, co więcej, w przekonaniu swem była mimo wszystkiego pewną jego miłości; a jednak uczuwała się teraz niejako dotkniętą, zawiedzioną, upokorzoną tem pierwszeństwem innej danem w swej obecności; bodło ją i bolało, że on przy Maryi został przed jej oczyma, że troskliwością i usługami *tamtę* otaczał, a ona patrzeć na to musiała i wśród tłumu obracać się sama.

Nagle też pragnienie pochwycenia go tu choć w przelocie, choć na minutę, choć mignięcia mu sobą, zajrzenia prosto z blizka w twarz i oczy, i nasycenia się choć błyskawicznem jego wzruszeniem, choćby przestrachem czy pomięszaniem, zawrzało w niej tak namiętne i bezwzględne, że porwała się raptownie z miejsca, pomknęła naprzód, przepychała się przez ścisk za śladem jego wysokiej postaci, ich welonów czarnych i już w sali się znalazła w chwili, gdy Janusz w bok poprowadziwszy panie, od Maryi brał kwit na rzeczy i ku drugiemu wyjściu się zwracał.

Wówczas prostszą, krótszą linią przecięła dzielącą ich przestrzeń, tak zwinnie, że pierwsza za drzwi się dostała i oko w oko z nim zetknęła.

Janusz drgnął i zbladł. Lecz w momencie wielka tkliwość oblała jego rysy. I tak przylgnął do niej wzrokiem pełnym utęsknienia i słodyczy, iż zdało się, oczu nie oderwie od jej źrenic gorejących niepokojem i pytaniem, a przykuwających i wyrazem, jakiego nigdy przedtem w nich nie czytał.

Stali więc tak w milczeniu, ogniem wejrzeń i oddechem przenikając się nawzajem.

— Powróciłaś? — szepnął on w końcu, rękę jej ujmując w dłonie.

— W tej chwili — równie cicho odparła ona.

I znów tylko wpatrywali się w siebie, w oszołomieniu, w bezprzytomności, poprzez miłość spojrzeń, poprzez mgłę upragnień i szumiącej w skroniach fali.

— Przyjdziesz? — wreszcie rzekła, raczej z dźwiękiem nakazu niż pytania w głosie.

— Przyjdę.

Oczy jej błysnęły radością, i wnet pod rzęsą się schowały. Burza w rysach złagodniała.

— Więc do zobaczenia — szepnęła z słodkim uśmiechem, podając rękę.

Miała już: obietnicę — pewność — zwycięztwo. Czyż należało na to się wystawiać, by pożegnał ją pierwszy, dla tamtej?

Odchodziła. Nie zamienili więcej ani słowa, a tłum wnet rozsunął ich, zagubił w swej toni, jedno od drugiego zdala.

VIII.

Powróciwszy do Warszawy, Ada poczęła na nowo pod opieką pani Męckiej rozbijać swój namiot, wprawiając w bezład przestawiane przez lato cacka i sprzęty. Następnie urządziła u siebie niewieści „five o'clock," by czemprędzej wciągnąć się w wir wszelkich spraw bieżących i w tej fali wyłowić nowe dla siebie pomysły zajęć i rozrywek.

Ponieważ jednak część znajomych nie ściągnęła jeszcze na zimowe leże, więc na wezwanie stawiła się jeno garstka najbliższych: Julia, Felicya i Hela z dwiema nowemi adeptkami sztuki, siostrami Borówkównami, które świeżo z głębi Litwy przybyły.

Rozmowa, wspomnieniami wakacyjnych przygód i wycieczek urozmaicona, zwracała się raz po raz do niewyczerpanego tematu studyów artystycznych i naukowych, wszelkiego rodzaju.

Felicya tylko nie brała udziału w ogólnej wesołości, ogromnie zgnębiona utratą ojca, którego śmierć pogrążyła rodzinę w nader trudnem położeniu.

— A co w szkole pani Darskiej słychać? Opowiedzcie! — naraz zawołała Ada. — Uczennic dużo zeszłorocznych?

— Dużo, lecz nowych z małym wyjątkiem — objaśniła Hela. — Niuta jeszcze na wsi, Marta w Paryżu.

— Już pojechała? Szczęśliwa! A! jak jej zazdroszczę!... Lecz że ja się kiedyś tam dostanę to pewne jak amen w pacierzu! — pocieszała się panna Smieńska.

— Po prawdzie jej nadobna mama mogła była poskromić swą idyotyczną próżność i nie rzucać tak w świat dziewczyny bez potrzeby — odezwała się Julia.

— A czy jest przynajmniej wiadomość, że w drodze nie zaginęła?

— Owszem, pisała do pani Darskiej. Wspomina, że chwilowo zatrzymała się u Teresy. Pamiętasz ją? Na wiosnę tu się kręciła: szczupła, szara blondyna, o figurze i twarzy płaskiej, jakby wyciśniętej w tłoku.

— Ta znów w Paryżu?!

— O, po pięciu latach pobytu już jej u nas nie zasmakuje na stałe.

— Ciekawam tylko z czego się utrzymuje? Bo majątku podobno ani zasiłków nie ma żadnych— podjęła Julia.

— A czy i tu wiele pracujących ma zarobek korzystny i pewny, a mimo to egzystują, bawią się, „na powierzchni pływają.” Teraźniejsza „sztuka życia,” moje drogie, a raczej „maskowania nędzy moralnej i materyalnej” — mówiła Hela. — I Teresa pewnie biedę klepie; ale któż sprawdzi jak ona mieszka, co pija, co jada? Ot jest w stolicy świata! używa swobody, w domu żadną miarą z rodzicami zgodzić się nie mogła. Podobno wachlarze maluje i papiery listowe; nocami zaś dłubie jakieś pasmanterye dżetowe; a niby robi i kopie obrazów.

— Dobrze, ale gdzie zbyt na nie znajduje? — przerwała rozciekawiona Ada. — Te jej studya, które widziałam, nic nie lepsze od naszych marnot, jakiemi, wybaczcie, nie śmiałabym nikogo częstować. A osiadłszy w Paryżu, oczywiście chciałabym sobie także przysporzyć dochodów, bo dziękuję za pozbawianie się wszystkiego na każdym kroku.

— Widzisz, ze sprzedażą przedmiotów zbytkowych za granicą łatwiej, ponieważ ogół jest zamożniejszy i więcej ma rozbudzone potrzeby cywilizacyi — tłómaczyła panna Bończuk.— Prawdziwi zaś znawcy i tam na bruku się nie rodzą, mimo wysokiego poziomu nauki i sztuki. Naiwnych wszędzie pełno jak maku. Tylko u nas prawdziwie nie jest się prorokiem we własnym kraju, a zagranicą znów łatwo ślepnąć z zaufania do swoich wysławianych stempli. A Tola w Monachium, słyszałaś?

— Doprawdy?

— Pojechała na rok dla „efektu” i też dla zdobycia marki. Wanda zaś do Drezna podobno wybiera się z wiosną, już widać poniechała zamiaru kupowania wierzchowca.

Ada zamyśliła się, aż wypieków na licach dostając z gorączki w gonitwie za towarzyszkami, na miejscu których byłaby się chciała znaleźć.

Borówkówny zaś słuchały tej rozmowy z wielką uwagą, niemniej przeto z gapiowatemi nieco minami, nie mogąc się oczywiście połapać, jako obce.

— Czy to wszystko artystki?—zapytała w końcu starsza swym przeciągłym akcentem, a z wielką czcią dla sztuki, lubo i z przerażeniem wobec takiego zastępu współzawodniczek na polu, jakie one obierały.

— Nie, nie, pani. To dyletantki, jak my, a niektóre jeszcze mniej czy więcej, bo ze wszystkiem przewrócone głowy — odparła Hela.

— Takiemi artystkami panie będą za trzy miesiące — dorzuciła Ada.

— O, my nie! my nigdy, nigdy! — wzdragały się Litwinki. — My tylko chcemy otworzyć szkołę.

— Obie razem.

— Nie, to jest dwie szkoły — objaśniała starsza. — Bo Łunia ma w Grodnie ciotkę, a ja w Wilnie stryja, to jest my obie mamy tę ciotkę i stryja, tylko że gdy z osobna w innem mieście osiądziem, to będziem mieć każda po jednemu. Więc my chcemy pootwierać szkoły, bo dwie panienki w tamtych stronach malują i to bardzo, bardzo się podoba. Tylko nie wiem, czy będzie się dało nauczyć tyle w przeciągu roku, bo to jakoś niełatwo i dużo, i jak słyszę Warszawa nie bardzo wystarcza.

Ada uśmiechała się nieznacznie; poczęła wszakże zapewniać obie przerażone siostry, że od pani Darskiej pod każdym względem zaczerpną dostatecznych wskazówek.

Hela tymczasem na boku prawiła z Julią.

— Ja bo rzucam te zabawki, łacinę ćwiczyłam przez wakacye, do końca roku jeszcze lepiej się przygotuję, i wyjadę do Genewy na przyrodę. Trzeba jakiś praktyczny i poważny zwrot życiu nadać.

— Zamąż tam wyjdziesz, zobaczysz, jak Bronka! jak Zosia.

Hela wzruszyła ramionami lekceważąco, choć nie bez miłego uśmiechu.

— Wyjść zamąż każda może, która tylko zechce; dość powiedzieć, że Teresie nie brakowało konkurentów nawet w Paryżu, przynajmniej tak opowiada. Ale jak ona woli swobodę i, jak się wyraża: „nie ma odwagi po trzydziestej wiośnie rozpoczynać nowego życia”—tak znów ja w dwudziestej piątej nie mam chęci się zaprzedawać. O, instytucya małżeńska musi być w zasadzie i w praktyce do gruntu zmienioną, jeżeli ludzkość nie ma zaginąć wskutek ogólnego buntu kobiet.

Julia poczęła gorąco przyświadczać tej opinii, oburzenie przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy manifestując zamaszystą gestykulacyą. Zaraz wszakże z tego tematu wpadła na ulubiony przez się: studyów nad psychologią.

— To też nauka do malarstwa potrzebna? — spoglądając na Adę spytała znów czemś przerażona Borówkówna. — Widzisz, Łunia! byłabym zapomniała, że i nad tem przynależy popracować, a! nie podołamy!

Ada roześmiała się bez ceremonii.

— Ależ do takiej sztuki malarskiej, jaką my uprawiamy, a panie zdobywać zamierzają, psychologia zbyteczna. Co innego do kompozycyi, do portretów, gdzie chodzi o umiejętne oddanie wyrazu, duszy, charakteru.

— Ach, bo przepraszam! Ja pomyliłam! — przerwała pomieszana Litwinka! — Mnie w głowie „perspektywa,” czyli nauka o wymiarach przestrzeni, wszak prawda, pani dobra? A psychologia to nauka o zjawiskach duszy, przypomniałam z encyklopedyi, co nam Tunio dyktował.

Hela wszakże przerwała dalsze tłómaczenia, znów żywo do Ady się zwracając.

— Ale wystaw sobie, że Ewa, Mita i pani N. urządziły potajemną emigracyą od pani Darskiej i przeniosły się na żywy model do szkoły Iskiego. Istna waryacya! Pozuje tam jakiś Pers tak cudownie piękny, że wszystkie dostały formalnego bzika. Co prawda zbudowany ma być istotnie jak Antinous. Pierś, muskuły, godne dłuta, nietylko pędzla. Karnacya ciała przepyszna!

— Jakto... więc w jakimże pozuje kostyumie?

— We wschodnim, indyjskim, o, w bardzo eterycznym, bukiet piór na głowie i, wieniec piór na biodrach. Właśnie przy tym barwnym a filigranowym stroju ocenić można całą piękność kształtów i wspaniałe modulacye kolorytu ciała. Ewa w rozpaczy, bo w żaden sposób nie może wydobyć gorącego tonu, odpowiednio do jego skóry. Łatwiej podobno tym, które już Syngalezyjczyków malowały.

Ada się zasłuchała.

— Cóż, ja mam łatwość koloru — zaczęła, — alem ani razu nie próbowała z żywego modelu! Iski nie dopuści mnie do Persa, daremne usiłowania! Trzeba do pani Zofii na popołudniowe lekcye rysunku się zapisać i powoli ją na tego Antinousa naciągnąć.

Borówkówny spojrzały na siebie czerwieniejąc jak raki, a oczy ze zdumienia i trwogi wytrzeszczając. Nie śmiały wszakże zapytać, czy to obowiązkiem każdej malować nagich Persów i czy one będą musiały poddać się z czasem tej ostateczności.

Lecz sam dalszy tok rozmowy uspokoił je nieco i pojaśnił.

Julia bowiem, jako z pewnego typu niemłodych panien, których przyzwoitość, cnota i surowa skromność wzrasta w miarę przybytku lat życia, z wielkiem zgorszeniem wypowiadać się poczęła przeciwko rozszerzającemu się zepsuciu obyczajów, które pozwala pannom na podobne studya, zupełnie otwarcie i pod hasłem nauki i sztuki. Przyczem nie omieszkała zaręczać, że pani Darska w nadto poprawnym tonie prowadzi szkołę, aby miała na podobne niestosowności zezwalać, i że jeśli Persa na modela przyjąć się zgodzi, to niezawodnie ubierze go co najmniej w strój beduina.

Zdanie więc owo uśmierzyło poniekąd obawy Litwinek. Ze strony Ady wszakże i Heli wywołało gorącą opozycyą i uwagi najrozmaitsze.

Obie mianowicie dowodzić poczęły, że nie ma sensu i logiki w odsuwaniu panien od anatomii i studyów nad człowiekiem żywym i w stanie natury, skoro bez tego nie podobna ani poznać, ani nauczyć się odtwarzać kształtów ludzkości i skoro od kobiet artystek wymaga się następnie w dziełach, równie jak od mężczyzn: prawdy, siły życia, doskonałości rysunku, tęgości muskulatury i t. d., jednem słowem pełnej umiejętności, jakiej nie zdobędzie się nigdy rysowaniem gipsów i ubrań rozpiętych na człowieku, jak na manekinie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Mieczysław... G.

W LESIE.

Jak tu pięknie, jak tu cudnie
W tym gmachu zaklętym!
Pod zielonym tym namiotem
Nade mną rozpiętym,
Pod tym dębem, co tak hardo
Uniósł w górę czoło,
Nad strumieniem, co z pośpiechem
Płynie w dal wesoło.
Wkoło puszcza... W jakąkolwiek
Wzrok skieruję stronę —
Wszędzie dzikie lasu wnętrze,
Głuche, niezmierzone —
Jakieś szmery, jakieś echa,
Z jego głębin płyną...
To głośniejsze, to znów cichsze,
Aż w oddali zginą.
I znów senno, i znów cicho —
Żaden jęk ze świata,
Żaden odgłos nędzy ludzkiej
Tutaj nie dolata — —
Tylko spocznij na zielonym,
Bujnych traw kobiercu,
Tylko wierzyć, tylko kochać,
Tylko śnić daj sercu.
Wierzyć — wierzyć, że choć wiele
Burz nad światem płynie,
Co szlachetne, wzniosłe, piękne
Nigdy nie zaginie;
Burze miną, przejdą fale
Niszczącej powodzi —
Błyśnie wiosna, a z nią razem
Piękno się odrodzi.
Kochać—kochać tę naturę
Co w chwilach rozstroju
Skołatanej piersi ludzkiej
Daje kwiat spokoju,
I jak matka łzy ociera,
I do łona garnie,
I odpędza gdzieś daleko
Złych myśli męczarnie —
I śnić w końcu, że z promieniem,
Co się w głąb' tę wkrada,
Samo szczęście pocałunek
Na twe usta składa.
A wrażenia? Ach, jak szybko
Tu się zmieniać mogą:
To mi dziwnie jakoś smutno,
To znów dziwnie błogo,
To zupełny spokój w duszy,
To walka okrutna —
Myśl wesoła w świat ulata,
A powraca smutna.
Ej, stój, myśli, — poco rzucasz
To leśne ukrycie:
Tu mi dobrze — tam daleko
Już nie takie życie...

Karol Dickens.

CZARNA ZASŁONA.

(Ciąg dalszy).

— Nie chciałbym powiększać boleści pani, naleganiem o bliższe wyjaśnienia — odpowiedział lekarz, — ale wyznam w każdym razie, że jest w opowiadaniu, które słyszę brak związku logicznego, bo rozważ pani tylko sama: ktoś umiera, wedle zapewnień pani dzisiaj wieczorem, a ja nie mogę go widzieć, pomimo, że moje starania w tej jeszcze chwili mogły mu przydać się na coś, jutro rano moja pomoc ma być bezużyteczną zupełnie, a pomimo tego żądasz pani, abym ja tego kogoś widział jutro właśnie. Jakże to pogodzić ze sobą? Jeśli ta osoba drogą jest pani w tym stopniu jak twierdzisz, dlaczegóż nie zgadzasz się, żebym ja spróbował powstrzymać bieg choroby, która do jutra zabije swoją ofiarę na pewno?

— Panie zlituj się nade mną! — powtarzała wśród łkań nieznajoma.—Jakże ja mam spodziewać się, że obcy ludzie uwierzą, skoro mnie samej wydaje się to niepodobieństwem. A więc panie, stanowczo odmawiasz mi wizyty swojej jutro? — zapytała zrywając się nagle.

— Ja nie powiedziałem, że odmawiam — zaprzeczał doktór, — ja tylko uprzedziłem, że jeśli się pani upierać nadal będziesz przy swojem żądaniu odwłoki, a chory tymczasem umrze, ciężka odpowiedzialność spadnie na panią.

— To nie na mnie, to na innych—zaprotestowała z goryczą.

— Co do mnie, to ponieważ ja ulegając żądaniu pani, nie narażam się na nic, sądzę przeto, że mogę zapowiedzieć pani wizytę moją jutro rano. O której godzinie mam się stawić?

— O dziewiątej.

— Pozwól pani, że zadam jeszcze jedno pytanie. Czy chorym opiekujesz się w tej chwili pani sama?

— Nie.

— I gdybym udzielić chciał pani wskazówek co do sposobu w jaki należy się obchodzić z cierpiącym, wskazania te moje byłyby zbyteczne lub nie?

— Najzupełniej zbyteczne—odpowiedziała ponownym wybuchając płaczem.

Widząc, że tu nie można liczyć na żadne objaśnienia, choćby się nie wiedzieć jak długo przeciągało rozmowę, nadto chcąc oszczędzić biednej kobiecie cierpień, które powstrzymywane w początkach objawiały się teraz pod postacią spazmów gwałtownych, nasz znajomy ponowił obietnicę jutrzejszych swoich odwiedzin o godzinie naznaczonej, a tajemniczo przybyła pozostawiwszy adres mało uczęszczanej dzielnicy w Wolworth znikła równie zagadkowo, jak zagadkowem było jej przybycie o tej spóźnionej porze.

Można sobie wystawić, że całe to wydarzenie wywarło niemały wpływ na umysł doktora i że ten ostatni gubił się w najrozmaitszych przypuszczeniach i domysłach. Podobnie jak każdy z nas czytał on o szczególnych przeczuciach śmierci, które w niepojęty sposób ziszczały się w dniu i godzinie przewidywanej i zdawało mu się zrazu, że to niechybnie coś analogicznego tkwić musi w całej tej sprawie, ale następnie przypomniał sobie, że takich przeczuć doświadczają ludzie odnośnie do własnej tylko śmierci, a ta kobieta mówiła przecież o kim innym — o mężczyznie jakimś i niepodobna było przypuścić, żeby ona o śmierci tej drugiej osoby wyrażała się z tą niezachwianą pewnością, kiedy przecież doprowadzało ją to do rozpaczy. A może prawdopodobnem było naprzykład przypuszczenie, że ów ktoś miał być zamordowanym w godzinie rannej, że ta kobieta związana dajmy na to przysięgą jakąś, była tymczasem obezwładnioną, a jednak dzięki skrupułom, czy wyrzutom sumienia chciała teraz wszelkimi sposobami powstrzymać rękę śmierci zawisłej już nad ofiarą, a jako środek do tego celu wybrała interwencyą nauki... in extremis.

Jednakże czyż samo widzenie chorego nie będzie dla doktora jednoznacznem z odkryciem zbrodni, i czyż ta kobieta mogła się zdecydować na wtajemniczenie osoby trzeciej w sprawę kryminalną? I znowu powrócić musiał doktór do pierwszego przypuszczenia swego, które jako rozwiązanie zawiłości całej nasuwało możliwość rozstroju umysłowego u tej tajemniczej nieznajomej. Ale z tą mięszały się znowu wątpliwości pewne nie dopuszczające tej hipotezy ostatniej, i tak upłynęła mu owa noc bezsenna pośród daremnych usiłowań rozplątania zagadki, albo chwilowego choćby odpędzenia od siebie tych myśli natrętnych.

Dzielnica Walworth najbardziej oddalona od stolicy ma i za dni naszych jeszcze wygląd ubogi i nędzny, ale przed kilkudziesięciu laty była to miejscowość opuszczona na wyłączną własność ludności podejrzanej, której nędza nie dopuszczała korzystać z ulic zdrowszych i weselszych a z drugiej strony sposób życia i procedury tajemnicze robiły to życie na ustroniu szczególnie pożądanem.

Strona, którą przebywał doktór, udając się na miejsce wskazane, nie mogła go usposobić weselej odnośnie do spotkania, które się zbliżało z każdą chwilą.

Zboczywszy z szerokiej drogi, mijał ciągle jakieś bagniska, jakieś zaułki i uliczki nieregularne, na których tu i owdzie opuszczona budowla rozsypywała się w gruzy, a po obu brzegach drogi, którą szedł dalej, widać było same już tylko kałuże wody stojącej, tu i owdzie drzewo spruchniałe, a na miejscach suchszych małe kwadratowe ogródki, przy nich baraki czy budy dla ogrodników i stróżów zapewne.

Od czasu do czasu na progach tych domostw i baraków ukazywała się sylwetka kobiety w odrażających łachmanach, która wylewała zawartość jakiegoś naczynia kuchennego, albo krzyczała za dziewczyną w podartych pończochach uciekającą z dzieckiem, nie wiele mniejszem od niej samej. Były to jedyne objawy życia ludzkiego, na które natrafiał tutaj doktór, a smutna i ponura mgła dopełniała obrazu opuszczenia i nędzy, które dreszczem przejmowały.

Po długiem błądzeniu pośród tych kałuży i tych śmiecisk, co krok zapytując przechodzących o położenie domu do którego zdążał, i odbierając od tych ludzi same sprzeczne objaśnienia, zdołał nareszcie nasz doktór odnaleźć owo domostwo ustronne. Była to budowla mała, ciasna, jednopiętrowa, powierzchowności nieledwie że smutniejszej jeszcze niż te, które dotąd spo-

tykał. Stary, żółty strzęp firanki zasłaniał okno facyaty; na parterze wszystkie okiennice były zamknięte.

W sąsiedztwie ani naprzeciwko żadnych mieszkań ludzkich; była to pustka i odosobnienie zupełne.

To też nie ubliżymy prawdzie, gdy powiemy, że młody lekarz nie tylko zawahał się czy ma zadzwonić lub nie, ale nawet obrzuciwszy okiem całość rudery cofnął się o kilka kroków. Nie powinno to wywoływać uśmiechu nikogo z czytających, bo trzeba pamiętać, że policya Londynu ówczesnego wcale do dzisiejszej podobną nie była a to odludzie całe, zanim je gorączka budowlana połączyła ze stolicą, było reputowane jako schronisko poróżnionych z prawem wyrzutków wszelkiego rodzaju. Ulice najweselsze nawet starego Londynu cierpiały na wielki niedostatek nocnego oświetlenia, a taki zakątek jak Walworth, zostawione były stanowczo staraniom dobroczynnego księżyca, to też i szanse ukrywających się tutaj złoczyńców były dla sprawiedliwości prawie żadne, a to właśnie bezpieczeństwo, którego używali tutaj dawało im pewność siebie i zuchwalstwo wzrastające z dnia na dzień.

Nasz przyjaciel wahał się jak rzekliśmy, ale nie długo. Był młody, odważny, silnej woli, to też otrząsnąwszy się szybko z wrażenia, rezolutnie zastukał do drzwi, które miał przed sobą.

Z wnętrza słychać było szmer głosów tak jak gdyby ktoś z jednego końca korytarza odpowiadał drugiej osobie stojącej na górze, a wkrótce potem odgłos ciężkich butów rozległ się tłumiony dywanem, rozesłanym na podłodze. Łańcuch przytrzymujący drzwi odłożono bez hałasu i doktorowi przedstawiła się postać człowieka wysokiego, o włosach czarnych a bladości widma. Spojrzenie miało to indywiduum błędne jakieś i pomięszane.

— Chciej pan wejść—powiedział głosem przyciszonym.

Doktór wszedł a ten szczególny odźwierny założywszy znowu łańcuch, niedopuszczający otwarcia drzwi z zewnątrz zaprowadził przybyłego do małego pokoiku położonego w końcu korytarza.

— Czy nie zapóźno przybywam?

— Zawcześnie — była odpowiedź lakoniczna.

Doktór zwrócił się po tym słowie i zdradził żywą oznakę zdziwienia, a nawet niepokoju, której nie mógł powściągnąć, jakkolwiek przykro mu było, że na początku samym dał dowód takiej słabości, tembardziej, że było to zauważonem przez tę postać zagadkową, która uznała za stosowne zapewnić.

(*Dokończenie nastąpi.*)

ODCZYTY.

A. Pilecki: O dekadentyzmie.

Imieniem tem ochrzczony kierunek literacki, smutne dziecko smutnej epoki, więcej znalazł u nas sędziów surowych i bezwzględnych, niżeli umysłów zdolnych zrozumieć genezę jego, dusz zdolnych do odczucia boleści wieku wyrażanej częstokroć w formie niejasnej, mglistej, sztucznej.

Nie powinno nas to zadziwiać. W fazie swego powstawania ruch każdy czysto na polu twórczości artystycznej, czy w innych dziedzinach trudnym jest do osądzenia, przyczyn jego nie każde oko dostrzeże, kresu nikt przewidzieć nie jest w stanie.

Dziś gdy dekadentyzm przybył już tę pierwszą i o ile się zdaje ostatnią swoją fazę, gdyż to co po nim przyjdzie, inne zapewne przybierze miano, swobodniej przyjrzeć się można zjawisku będącemu w każdym razie wytworem naszej cywilizacyi, naszego życia, naszych stosunków, i które tem samem już nie może pozostawać obojętnem dla żadnego człowieka myślącego.

Słusznie w prelekcyi swojej położył pan Pilecki nacisk na to, że dekadentyzm jest poezyą epoki przełomu.

Na czem polega istota tego przełomu?

Materyalizm, jak wiemy, zamknął był przed człowiekiem przestwory dalekie, w które niegdyś dusza jego wylatywała z rozkoszą, nauka pozytywna ograniczyła działalność jego umysłu do badania tego tylko, co sama nazwała *poznawalnem*, ale przyszła chwila, gdy więdnący w cieśni tej duch ludzki upomniał się o swoje prawa, rozwinął skrzydła, zawołał: pragnę!

Pragnę nieskończoności, pragnę ideału!

Rozwinął skrzydła, ale nie wzleciał. Nad nim tam w górze srebrzy się szlak nieskończoności, ale on przykuty do ziemi, jemu nie wznieść się ku światłom ideału, dopóki powłoka materyalna go więzi! Więc zaczął skarżyć się, urągać, bluźnić, kląć niemoc swoją...

To była chwila narodzin dekadentyzmu.

Nuta tej nowej pieśni kapryśna, chorobliwa, dziwaczna, to drga mistycyzmem krańcowym, to rozpaczliwem zwątpieniem, to zmysłowością zwierzęcą. Czasem jakimś tonem głębokim, przeczystym wzbije się ku niebu, by za chwilę opaść i skonać w chaosie zgrzytliwych rozdźwięków. Walczą w niej dwa pierwiastki: duch i materya. Walczą na zabój, nie układając się nigdy do równowagi, do harmonii, jak to bywało niegdyś za dawnych dobrych helleńskich czasów.

Kto z tego stanowiska zapatruje się na poezyę dekadencką, ten musi uznać ją za zjawisko w powyższym stopniu zajmujące.

A teraz przejdźmy do treści odczytu.

Za duchowego przywódcę dekadentów uważa prelegent Karola Baudelaire'a, jakkolwiek co do czasu poeta ten znacznie wyprzedził liczną rzeszę młodych pisarzy, która przed laty kilkunastu zgrupowała się około pisma p. t. „Dekadent.” Głównem hasłem, które ta gromadka wypisała na swoim sztandarze był subjektywizm. Wbrew zalecanej dotychczas przez naturalistów metodzie objektywnego tworzenia, polegającej na obojętnej obserwacyi zjawisk życiowych, postanowili młodzi z głębi dusz własnych wysnuwać poetycką przędzę. Był więc nowy kierunek reakcyą przeciwko panującej w owym czasie teoryi literackiej. Zapowiadał, że znajdzie nowe drogi, że nowe piękno odsłoni światu.

Patrzmy w głębie naszego „ja” — wołali dekadenci, malujmy wizye jawiące się przed nami, słuchajmy głosów, które w nas rozbrzmiewają, dajmy ludziom cząstkę nieskończoności zamkniętą w duszach naszych.

Subjektywistą także był Baudelaire. Nawiasowo jednak dodać tu potrzeba, że nie ten rys tylko stanowił spójnię między nim a dekadentami. Subjektywnym jest właściwie każdy talent twórczy, nawet wtedy, gdy nie zdaje sobie sprawy z tego, gdy się tego wypiera, gdy zaślepiony teoryą naturalistyczną mniema, że w dziele swojem daje tylko wierną kopię natury, że nic w nie z siebie nie wkłada, że pozostaje całkiem po za utworem swoim.

Baudelaire'a łączy z dekadentami przedewszystkiem wspólność cierpienia. W nim uwydatnia się najsilniej owa walka ducha z materyą, na której tle powyrastały to nikłe i chorobliwe, to potworne, to czasem przejmująco piękne, a zawsze dziwaczne kwiaty dekadenckiej muzy—*kwiaty złego.*

Oto, w jaki mniej więcej sposób charakteryzuje prelegent Baudelaire'a: Autor „Fleurs du mal” to człowiek którego dusza, dusza poety wyrywa się ku idealnym przestworom, ale którego zmysły ciągną ku ziemi, zmuszając do nurzania się we wszelkim błocie. Baudelaire przekonany jest głęboko o nędzy, o podłości natury ludzkiej.

Ze szczerością, z cynizmem nawet pokazuje własne upadki, odkrywa przed czytelnikiem własne rany. Ale on nie lubuje się w złem, przeciwnie, nienawidzi je, więc gorycz zalewa mu wargi, więc rzuca się namiętnie, pastwi nad sobą, rozdziera te rany, jest—jak powiada sam — jednocześnie „ofiarą i jej katem.” Pośród występków, szałów, zwątpień, rozpaczy nie przestaje błyszczeć mu w duszy srebrny promień ideału. Poezya Beaudelaire'a to ogród, w którym dziwna panuje atmosfera: gorąca, duszna, przesiąknięta wonią kwiatów egzotycznych. By oswoić się z nią i módz oddychać tem dziwnem powietrzem, potrzeba pewnego czasu. W każdym razie czy urąga lub przeklina, czy tonie w zmysłowości, czy wylatuje w sfery podniebne, jest Baudelaire zawsze osobistością niepospolitą, potężną choć mroczną.

Pośród dekadentów młodszego pokolenia pierwsze miejsce zajmuje zmarły w roku bieżącym Paweł Verlaine. I w nim spotykamy tę samą dwoistość, ten sam rozdźwięk bolesny. I jego muza z mętów życia umie w jednej chwili wznieść się ku wyżynom mistycznym. W poezyi jak w życiu z koła uciech paryzkich wyrywa się Verlaine w chłodne zacisze starego klasztoru Kartuzów. Mniej w nim siły, mniej namiętności jak w Baudelairze. Marzenie jest jego dziedziną, marzenie mgliste, nieuchwytne. Jego wiersz jest muzyką budzącą w duszy słuchacza napół świadome nastroje. Poeta to półcieni, półtonów, piszący dla wybranej garstki, dla arystokracyi ducha, dla ludzi przecywilizowanych. Jego subtelne melodyjne liryki, nie poruszą nigdy tłumów.

W ślady Verlaine'a poszło wielu pisarzy mniejszej siły, mniejszego talentu, którzy to, co było słabą stroną mistrza, podnieśli do potęgi, ale ani wdzięku, ani łagodnej melancholii jego nastrojów, ani nieporównanej muzyczności wiersza nie dosięgli.

Pewien odłam dekadentów odłączywszy się od rodzinnego pnia, założył nowy obóz *symbolistów.* Teoretykiem tej nowej szkoły jest Jan Moreas, jednym z najgłówniejszych jej przedstawicieli Stefan Mallarmée. Symboliści właściwie nie wprowadzili do literatury żadnych nowych pierwiastków. Mowa poezyi była zawsze i będzie mową symbolistów. U prawdziwego poety symbole bez żadnego z jego strony wysiłku płyną wprost ze źródła twórczości, z natchnienia. Ponieważ zdaniem p. Pileckiego w gronie symbolistów nie pojawiła się ani jedna zdolność wybitna, ani jeden prawdziwy poeta, więc też cała symbolika ich

jest naciągnięta, sztuczna, robiona i nie wywiera na czytelniku żadnego wrażenia. Jeszcze smutniej przedstawiają się różne późniejsze odłamy dekadenckiego obozu. A jest ich bardzo wiele. Codzień niemal powstaje w czyjejś głowie nowa doktryna artystyczno-literacka, zbiera się kółko zwolenników nowej wiary, zakłada dziennik... potem po jakimś czasie kółko się rozprzęga, nowa teorya podkopuje dawniejszą i t. d. Za objaw wprost psychopatyczny uważa p. Pilecki teoryę harmonistyczną Ghile'a. Według tego dekadenta z każdym pojedyńczym dźwiękiem, z każdą pojedyńczą głoską kojarzy się pojęcie barwy, a także pojęcie rozmaitych stanów duszy. Zgłoska *a* np. jest dlań czarna, *e* białe. *A* i *O* wyrażają powagę, wspaniałość, *i* smutek i t. p. Należy zatem używać zgłosek tych tam, gdzie się chce odnośne uczucia czy wrażenia wywołać.

Do dekadentów zaliczył prelegent pisarzy, którzy wprawdzie dość daleko trzymają się od głównego obozu, ale których twórczość nosi na sobie wyraźne piętno tego, co przywykliśmy dekadentyzmem nazywać, a więc Jana Richepin, Rollinat, powieściopisarzy Pawła Bourget, Edwarda Rod i innych.

Chwilę zatrzymał się prelegent nad dekadentyzmem belgijskim, a szkoda doprawdy, że tak mało poświęcił mu czasu, gdyż nowe prądy poetyckie daleko szerszem i wspanialszem korytem rozlały się w Belgii niż we Francyi. Neoromantyzmem nazwał pan Pilecki poezyą belgijską ostatniej doby. Potężniejsza a zarazem posępniejsza wyobraźnia poetów belgijskich popchnęła ich ku badaniu nieświadomych podkładów duszy ludzkiej. Maurycy Maeterlinck z dziedziny przeczuć, snów, przerażeń czerpie tematy do swoich utworów. W dramatach jego czynną rolę grają siły przyrody. Jest on zarazem poetą niepospolitej miary i myślicielem głębokim.

Wracając raz jeszcze do ogólnej charakterystyki dekadentów, położył prelegent nacisk na wybujały indywidualizm, cechujący przedstawicieli tego kierunku, na pogardę, którą okazują t. z. tłumowi, na nieszczere potęgowanie boleści własnych a lekceważenie cierpień innych, napomknął, że ideałem ich jest wytworzenie rassy ludzi wyższych, t. zw. przez głośnego filozofa niemieckiego *nadludzi*.

Co się tycze lekceważenia cierpień innych, pozwolimy sobie zrobić uwagę, że bardzo uderzający w tym względzie wyjątek stanowi Maurycy Maeterlinck, u którego struna współczucia dla wszystkiego, co małe, słabe, cierpiące, pokrzywdzone, drga bardzo silnym i przejmującym dźwiękiem.

Zakończył prelegent życzeniem, aby owi nadludzie mający stanowić rasę przyszłości nie byli egoistami na wzór dzisiejszych dekadentów, ale potężnymi duchami, garnącymi w sferę swoich uczuć jak najszersze kręgi—promieniejącymi na jaknajdalsze przestrzenie.

H. C.

Z nauki czystej i stosowanej.

Granat. — Nowy statek podwodny. — Parowiec, przebywający 80 kilometrów na godzinę.

Zapewne nie jedna z naszych czytelniczek posiada szpilki do włosów lub broszki, w których, pomiędzy innymi drogimi kamieniami, znajduje się także rozlewający krwawe blaski granat.

Granat nie należy do arystokracyi mineralogicznej, w której pierwsze miejsce należy się dyamentowi, pomimo to jednak ma on swoją wartość i do dziś dnia nie wyszedł z mody; można bowiem wyrabiać z niego prawdziwie artystyczną biżuteryę i ozdoby, które produkuje głównie zakład Kerna w Pradze.

Nie od rzeczy będzie nadmienić, że granat, z punktu widzenia mineraloga jest podwójnym krzemianem żelaza i glinki, krystalizującym pięknie w dodekaedry lub romboedry.

Od wielkiej liczby regularnych ścianek kryształu fasetek odbija światło, tworząc piękne odblaski czerwone, sprawiające duży efekt.

Granat miewa także, zależnie od zmian w składzie chemicznym, barwę fijołkową, żółtą, niebieską, zieloną, a nawet całkiem czarną. Zielony nie jest tak piękny, jak rubinowo czerwony, lecz spotyka się daleko rzadziej od tego ostatniego, a więc ma znacznie większą wartość.

Odmianę czarną mineralogowie nazywają melanetem.

Należy zresztą wiedzieć, że prawie każdy granat czernieje za ogrzaniem go do wyższej temperatury, lecz nie zawsze powraca po ostygnięciu do pierwotnego koloru. Jeden tylko granat czeski posiada tę ostatnią zaletę.

Znajduje się on prawie wszędzie, głównie w łonie skał wybuchowych, jak na przykład granit. Woda deszczowa w połączeniu z powietrzem powoli sprawia, że twarda opoka zamienia się w proszek, który następnie potoki górskie porywają i unoszą w głąb dolin. Tutaj więc należy szukać granatu.

Z pokładu napływowego łatwo go już wydobywać przy pomocy łopaty i motyki. W ten sposób odbywa się eksploatacya w Indyach, w Azyi Mniejszej, w Aryzonie, w Grenlandyi, Tyrolu, wreszcie w Czechach, które są klasyczną ojczyzną drogich kamieni. Klejnoty są tam bardzo lubiane i każda wieśniaczka musi posiadać ich mniej lub więcej.

Płaskowzgórza czeskie wyłącznie prawie składają się z granitu, obfitującego w granat; w pobliżu Karlsbadu znajduje się góra, zawierająca niesłychaną obfitość tego kamienia, którego wszakże nikt nie wydobywa sposobem górniczym. Zadanie to spełnia sama przyroda; skała wietrzeje, rozpada się stopniowo i granaty zostają wrzucane w dolinę przez wodę.

Najliczniej zjawiają się poszukiwacze tego kamienia po gwałtownych deszczach, gdyż wtedy spodziewają się znaleźć kryształy o pięknym blasku i wysokiej wartości.

Ziemię wydobytą płucze się wodą, granat, posiadający znaczny ciężar gatunkowy, łatwo się od niej oddziela i opada na dno rowka, w którym dokonywa się operacyi.

Nie sądźmy jednak, że drogi kamyk łatwo odróżnić od pospolitych ziarn żwiru; nie posiada on bowiem blasku ani ognia, nabiera go dopiero po oszlifowaniu i polerowaniu. Najczęściej bywa czarny na powierzchni i pokruszony w drobne kawałki.

Obrabiania granatu podejmują się robotnicy, pracujący u siebie po domach. Do szlifowania używają krążków ołowianych, szybko się obracających, do polerowania zaś miedzi, cynku lub bronzu. Tej ostatniej czynności podejmują się zazwyczaj kobiety.

Zajęcia te dają w Czechach utrzymanie 10,000 ludzi; ztąd wniosek, że obrabianie granatu stanowi dość rozwiniętą gałęź przemysłu.

Największe kawałki tego drogiego kamienia ustępują znacznie rozmiarami największym dyamentom. Najpiękniejszy granat, jaki kiedykolwiek znaleziono, waży 96 gramów (około ¼ funta), ma 35 mm. długości, 27 wysokości i 18 szerokości, wartość jego wynosi zaś tylko 1,000 franków (250 rs.).

Drobne granatki mają bardzo małą wartość; używają ich zamiast piasku do posypywania alei w ogrodach i w aptekach do ważenia flaszek. Cenione są tylko kamyki większych rozmiarów, starannie oszlifowane.

Czy możliwą rzeczą jest zrealizowanie marzeń Juliusza Vernea, opisanych w zajmującym utworze „Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi."?

Dwadzieścia lat temu odpowiedzianoby na to pytanie przecząco, dziś jednak jest inaczej. Żegluga podmorska bowiem jest już faktem dokonanym, a podwodny statek, w rodzaju „Nautilusa" rzeczą istniejącą od dość dawna.

Świeżo we Francyi zbudowano nową łódź podmorską, która otrzyma nazwę „Goubet'a" na pamiątkę innego „Goubet'a," z którym robiono próby w Cherbourgu w 1891 r.

Nowy „Goubet" ma postać cygara, albo lepiej ciała wrzecionowatego, liczy 8 metrów długości i 1 m. 75 cm. średnicy w najgrubszem miejscu. Dostać się można do jego wnętrza przez otwór, zakończony rodzajem kopuły, wystającej z kadłuba na 35 cm.

Kadłub zrobiony ze stali i bronzu, może znosić ciśnienie, odpowiadające głębokości 250—300 metrów.

Siły poruszającej ten statek podwodny dostarcza maszyna dynamo-elektryczna, otrzymująca prąd z bateryi galwanicznej, akumulatory bowiem zarzucono z powodu, że wydzielają one wodór, który może wytworzyć z powietrzem wewnątrz statku bardzo niebezpieczną mięszaninę piorunującą.

„Goubet" jest więc małym stateczkiem, waży bowiem tylko 10,000 kg. i może być przewieziony w wagonie kolei żelaznej. Załoga jego składa się z trzech osób — oficera i dwóch majtków.

W stalowych rurach, pod ciśnieniem 80 atmosfer, znajduje się zapas powietrza, potrzebny do oddychania, kwas węglany wydzielany z płuc zostaje pochłaniany przez potaż gryzący.

Zanurzanie się i wypływanie na powierzchnię odbywa się nadzwyczaj łatwo, przez zmianę ciężaru gatunkowego statku, który jest tak zbudowanym, że wraz z uzbrojeniem i załogą pływa normalnie po zwierciadle oceanu, wystając cokolwiek ponad nim.

Chcąc się dostać w głębie, dość jest wpuścić do rezerwoarów pewną ilość wody; przeciwnie zaś, dla wydostania się z przepaści oceanu na

powierzchnię, usuwamy wodę ze zbiorników przy pomocy pomp.

Odpowiednie, a bardzo dowcipne urządzenie, pozwala utrzymywać łódź w równowadze w dowolnej głębokości, nietylko w stanie spoczynku, ale nawet podczas ruchu.

Kierować statkiem można nietylko śrubą, która przyjmuje różne położenia, ale i parą wioseł, wystających na zewnątrz kadłuba, niby nogi kaczki.

Służą one za rezerwę na wypadek, gdyby baterya elektryczna wyczerpała się, lub dynamoelektryczna maszyna uległa zepsuciu.

Dla nadania „Goubetowi" szybkości 7—8 węzłów (węzeł = 1,854 metrów) wystarcza zupełnie siła dwóch koni parowych.

Jakże jednak można się zoryentować, będąc pogrążonym w łonie oceanu? zapyta czytelnik.

I na to znaleziono sposób. Z wewnątrz statku daje się wysuwać, niby składana luneta, niewielka rura, na końcu której mieści się pryzma, podobna do tej, jaką używają de ciemni optycznej dla rysowników. Koniec tej rury sterczy po nad wodą, obraz horyzontu pada zaś na biały ekran w głąb statku.

Dzięki temu dowcipnemu urządzeniu, komenderujący łodzią podwodną widzi doskonale, co się dzieje na powierzchni morza i odpowiednio do tego kieruje się.

W razie nieszczęśliwego wypadku „Goubet" wypływa w jednej chwili na wierzch, gdyż ze spodu nosi duży ciężar ołowiany, który można łatwo odśrubować. Skoro to nastąpi, łódź staje się znacznie lżejszą i dąży ku powierzchni, niby korek.

Ostrożność to niezbędna dla bezpieczeństwa załogi.

Szkoda, że statki podwodne, których zbudowano już znaczną liczbę, służyć mają do celów wojskowych, mianowicie do rzucania skrycie wybuchających torped na nieprzyjacielskie statki.

Miejmy wszakże nadzieję, że z czasem wejdą one w powszechne użycie i pozwolą wszystkim patrzeć na cuda głębin morskich, które oglądał fantasta kapitan Nemo.

Oby to nastąpiło jak najprędzej.

Elektryczność, jak się zdaje, wyruguje kiedyś parę, jako bezpośrednią siłę, popychającą okręty i ciągnącą pociągi na kolejach.

Oto dochodzi nas wiadomość, że pewien wynalazca złożył w Waszyngtonie dla opatentowania, model statku, który podobno byłby w stanie przepłynąć ocean Atlantycki w przeciągu trzech dni.

Cudu tego ma dokonać wszechpotężna elektryczność.

Maszyny parowe mają służyć do obracania maszyn dynamo-elektrycznych, które dają prąd, działający na motory elektryczne, wprawiające w ruch śruby. W ten sposób zyskuje się podobno dużo siły.

Machina tego okrętu przyszłości, który ma przebywać w godzinę przestrzeń 80 kilometrów, będzie, jak utrzymuje wynalazca, rozwijała 100 tysięcy koni parowych.

Zobaczymy, jaki rezultat dadzą próby, robione na dużą skalę.

W. U.

Kongres Feministek.

W dniu 8 Kwietnia b. r. otwarty został w Paryżu międzynarodowy kongres kobiet tego odcienia, który zapowiada tytuł naszego sprawozdania.

Jakkolwiek pismo nasze z kierunkiem wzmiankowanym nic wspólnego nie miało, nie ma i mieć nie będzie, przez skrupulatność sprawozdawczą nie pomijamy milczeniem obrad tego wiecu, czy kongresu, jak on sam siebie nazywa, nadmieniając zgóry, iż będzie to relacya z relacyi, że zatem za akuratność tej informacyi robimy odpowiedzialnym paryzki „Figaro," z którego czerpiemy cały materyał.

Na miejscu budzą te obrady dosyć interesu z rozmaitych zapewne względów. Dzienniki rozpisują się o nich i nie można się temu dziwić, bo w każdym razie Izba i Senat są na feryach świątecznych, a szpalty zapełnić czemś potrzeba koniecznie. Z tego względu jeśli szło o rozgłos, moment wybrany był trafnie. W formie objaśnienia zaznaczyć nam jeszcze wypada, że Figaro, stara się utrzymać w tonie bezstronnym, a nawet przychylnym dla zgromadzenia; jest tam jego współpracownik zdecydowany zwolennik kierunku, więc zastrzegamy to sobie z góry. Do jakiego stopnia ma słuszność Figaro i czy się w tym tonie utrzyma do końca — zobaczymy w toku obrad.

Na wstępie znajdujemy kilkanaście sylwetek kobiet wybitniejszych, a nadmienić należy że o ile się zdaje, jednolitem na punkcie przekonań zgromadzenie nie jest, o czem czytelniczki z tych pojedyńczych charakterystyk najlepiej osądzić zdołają. I tak wspominają najprzód:

Pannę Popelin delegowaną z Belgii. Jest ona pierwszą kobietą, która zajęła stanowisko adwokackie w swoim kraju. Z innych względów używa ona szacunku powszechnego, równie jak jej siostra, biorąca także udział w kongresie. Obie należą do bogatej burżuazyi Belgijskiej i razem z panną *Leonią Lafontaine* oddane są propagandzie umiarkowanej, z której wykluczone są stanowczo utopie socyalistyczne i ekscentryczności, dotyczące stosunku kobiety do mężczyzny. Po co tedy przybyły tutaj — nie wiadomo, ale może zobaczymy to przy zabieraniu głosu.

Miss de Broen Angielka osiadła we Francyi w Belleville. Osoba to w obejściu bardzo dystyngowana, a życiem stwierdzająca przejęcie się szczere zasadami chrześciańskiemi. W Belleville założyła przytułek dla sierot, szkołę wieczorną dla dziewcząt dorastających, dom zarobkowy dla kobiet i bibliotekę bezpłatną. Ogólna opinia twierdzi, że jest ona filantropką, ale feministką nie jest.

Pani Kathe Schirmacher dr. filozofii.

Emilia Mariani literatka i redaktorka dziennika dosyć podobno niewinnego.

Pani Ida Molander (niewiadomo jakiej narodowości, a mimo to twierdzi Figaro, że jest to kobieta uczona, tylko po francuzku nie rozumie ani słowa).

Hilda Sachs Szwedka i *Eliza Haigem* Hollenderka, obie przedstawione kongresowi przez p. *Maryę Szeligę*, którą Figaro nazywa Polką i podaje jej charakterystykę. Tę ostatnią przytoczymy i my w brzmieniu dosłownem, bo nie godzi się mniej udatnem przepolszczeniem ująć coś z pochlebnej oceny paryzkiego dziennika, a mogłoby nam zdarzyć się coś podobnego bez złej intencyi nawet.

Otóż ocena ta brzmi: „Si fine, si litteraire, si pénétrante, que bien des hommes ne seraient auprés d'elle que des tout petits garçons."

Pani Potonié.

Pani Pognon.

Trzy ostatnie wymienione damy są organizatorkami kongresu, a jak zobaczymy, na pierwszy dzień obrad zaszczyt przewodniczenia przyznany został pani Pognon, wiceprezydentką na ten dzień będzie p. Marya Szeliga.

Figaro twierdzi, że pani Pognon zyskała sobie to wyróżnienie dzięki sukni swojej, która zrobiła wielkie wrażenie. Zgromadzenie jest tak demokratycznem, że na każdy dzień wybieranem będzie nowe prezydyum.

Pani Feresse siostra zmarłej *Maryi Deraismes.*

Pani Klemencya Royer tłómaczka Darwina i autorka przedmowy oryginalnej do tego zbioru.

Panna Gachés-Sarraut dr. medycyny.

I wiele, bardzo wiele innych na których wymienienie nie starczyłoby nam miejsca.

Celem zwołania kongresu było rozejrzenie się w postępie prac zmierzających do wyswobodzenia (!) kobiety, a przedmiotem obrad dyskussya nad najważniejszemi zagadnieniami z dziedziny prawa, ekonomii społecznej i polityki. A zatem.

1. Reforma prawa o małżeństwie. Prawo rozwodowe.
2. Projekt do prawa o wyłączeniu zarobków kobiety zamężnej z pod wspólności majątkowej.
3. Reforma kodeksu karnego z punktu równouprawnienia obu płci.
4. Prawo wyborcze. Wybieralność kobiety do rad biegłych przysięgłych — do rad zawodowych i sądów zawodowych.
5. Sprawa pokoju powszechnego w całej rozciągłości.
6. Dobroczynność.
7. Wychowanie.

Jak widzimy dosyć bogaty w treść jest ów kongres jak na cztery dni trwania mianowicie, ale to może nam tylko się tak wydawać ze względu że marudztwo właściwe mężczyznom wszystko przedłuża i wynajduje trudności, tam gdzie ich nie ma. A i tych mężczyzn, o których nie wspomina sprawozdawca, czy są feministami z przekonania lub nie, jest gruppa spora; wymienimy za francuzką gazetą pp.: dr. Legrain naczelny lekarz przytułku Ville-Evrard, Albert Gauttard członek Unii Falansteryjnej (niczego sobie tytulik!), pan Juliusz Bois, współpracownik z Figara Leopold Lacour et caet. et caet.

Rozlega się dzwonek prezydyalny p. Potonié, prezydującej tymczasowo, która wzywa do wyboru prezydyum. Wśród przykładnego porządku wróżącego jak najlepiej, wybraną zostaje prezydentką jak rzekliśmy p. Marya Pognon, następują oklaski huczne, ale oto zjawia się i turbatorka jednomyślności w osobie obywatelki Leonii Rouzade, która z uniesieniem protestuje przeciw wyborowi z uwagi, że są tu przecież doktorki wszelkich nauk, i że wobec nich zaszczycenie fotelem prezydyalnym jakiejś pani wynajmującej mieszkania meblowane, jest prostą nieprzyzwoitością. Citoyenne Leonie Rouzade, bo tak ją tytułuje sprawozdanie, posiada oko żywe, wygląd przedsiębiorczy, a rezolutny to też na uprzejmą uwagę p. Potonié, iż nie wypada rzucać nasienia

niezgody w chwili tak uroczystej, obywatelka odpowiada:

— Nie znieważaj mnie pani bo jest tutaj i mój mąż, o którym pani wiesz, iż jest radcą municypalnym.

Wielka wesołość z jednej strony—wielki smutek z drugiej, bo istotnie w tem zgromadzeniu uciekać się pod protekcyą męża... a tymczasem publiczność wśród głośnych wybuchów śmiechu woła: męża! męża dawajcie tutaj! Mąż który jest obecny, ma tyle roztropności przecie, że się nie ukazuje, umysły wzburzone uspakajają się, kilku członków proponuje panią Feresse na prezydującą, ta nie przyjmuje i zgadza się zaledwie na prezydyum honorowe, i nakoniec pani Pognon zajmuje miejsce przewodniczącej.

Przemowa prezydentki rozpoczyna się od podziękowania Municypalności Paryzkiej za wyznaczenie 1,000 franków subwencyi dla kongresu, poczem mówczyni streszcza cele i filozofią (?) feminizmu; kończy apostrofą do mężczyzn: „Zajęliście panowie wszystkie miejsca wśród społeczności — to niesprawiedliwe a co niesprawiedliwe traci racyą bytu. I nam potrzeba miejsca na słońcu obok was. Ludzkość działa po woli czy po niewoli, wedle praw przyrodzonych (obosieczny argument) — jeśli je pomija przywoływaną jest do porządku przez przyrodę-mistrzynią, która mszcząc się karze istoty nieposłuszne. Zbiorowość, która przyjmuje tego rodzaju stan rzeczy, cierpi na tem i zmuszoną jest powrócić (??) do niewzruszonej i odwiecznej zasady, opartej na sprawiedliwości i prawdzie.

Mowa podobała się bardzo. Oklaskują wszyscy nie wyjmując obywatelki Rouzade.

Następnie zabiera głos pani Marya-Szeliga-Loevy w imieniu kobiet cudzoziemek. Najwybitniejszą część mowy stanowi, że Francyą nazywa mówczyni: starszą siostrą nowego kościoła (!).

Adwokat holenderski Izraels delegowany od Stowarzyszenia głosowania powszechnego kobiet, mówi przez pół godziny o narodowości kobiety zamężnej. Jest to wyciąg z rozmaitych prawodawstw, który zaczyna nudzić słuchaczki, wogóle mające wstręt do wszystkiego co zostaje w związku z prawem; prezydująca prosi, aby mówca zechciał się streścić i oto konkluzye do jakich dochodzi p. Izraels: 1. Aby w każdym kraju kobieta była tej narodowości, jakiej jest mąż; 2. Aby cudzoziemiec żeniący się z tuziemką wolny był od naturalizacyi przymusowej.

P. Marya Szeliga Loevy żąda: 1. Aby naturalizacya kobiety zamężnej była zależną od jej woli; 2. Aby dzieci takich rodziców wybierały sobie narodowość po dojściu do pełnoletności. (Pyszne! Nieocenione! Za to jedno powinny były te panie posadzić panią Loevy na krześle prezydyalnem).

P. Viardot adwokat przy sądzie Apelacyjnym w Paryżu żąda autonomii dla każdego ze współmałżonków.

Dezorganizujesz rodzinę! Woła jakiś głos pojedyńczy zagłuszony przez tłum. Mówca się miesza i oświadcza na końcu, że zdaniem jego narodowość nie może być przymusową.

Ale oto dopuszczoną zostaje do głosu nowa osobistość. Jest to niejaki p. Paweł Robin. Zacznijmy od rysopisu. Włosy białe obcięte szczotkowato, cokolwiek przygarbiony, z pod okularów rzuca dokoła spojrzenia śledcze, warga wydęta pogardliwie. Jest to, jak twierdzi francuzki sprawozdawca, człowieczek mały, który z wielkiem upodobaniem odgrywa rolę wielkiego człowieka. Co do przekonań, to był on dawniej socyalistą — z wiekiem postąpił o kilka szczebli i jest obecnie anarchistą czystej wody (jeśli tam jest woda czysta).

Tonem wyroczni przemawia on do zgromadzonych: „Jak widzę chcecie się odwoływać i wy także do prawa, aby polepszyć waszą dolę. To na nic! Ile razy ponowicie podobną próbę, tyle razy prawo zacieśni tylko wasze łańcuchy. Prawa są złe — muszą być złe — nie ma innych praw!"

Część audytoryum bije oklaski — część szemrze, a tymczasem pan Robin mówi dalej:

„Prawdziwem lekarstwem jest wolność, której potrzeba umieć spojrzeć oko w oko. Co to jest wolność przy niewolnictwie militarnem? Szczeble tego postępu o którym nam prawią, prowadzą na wstecz. Wy się chcecie bawić w nowe prawa o małżeństwie a ja wam powiadam: Żadnych praw! Niech żyje wolna miłość!"

Te same podzielone oklaski i szemrania, prezydująca robi uwagę, że szanowny preopinant odchodzi nieco od materyi, ale mówca nie wiele na to zważając konkluduje:

„Czy wy wiecie dlaczego robotnicy się żenią? Robią to z pobudek dwojakich: albo ze względów religijnych, albo dlatego żeby ich wdowy dostały wsparcie. Co do was to zapewnić was mogę, że przez te wszystkie paljatywy dojdziecie tylko do tego, że zmienią kolor kija, którym będziecie bite na przyszłość."

(Mój Boże! jakiż on brzydki powiada jedna z pań siedzących obok sprawozdawcy.)

Po anarchiście wstępuje na trybunę socyalistka p. Paulina Minet. I ona przemawia za wolnymi związkami, ale słuchaną jest z uznaniem, ponieważ, jak twierdzi sprawozdanie znają wszyscy jej dobre serce i siłę przekonań (!).

(Alboż to tamte nie były silne?)

W końcu zawotowano jako uchwałę wniosek p. Loevy, którą już teraz stale tem mianem nazywać będziemy.

1. Aby kobiecie wolno było wedle jej woli przyjąć lub nie przyjąć narodowość męża.

2. Aby dzieci takich związków wybierały sobie narodowość po dojściu do pełnoletności.

Nie ma tam nic o tem, co zrobić z takiemi, które nie będą chciały mieć żadnej narodowości, a przecież ta chyba ewentualność jest do przewidzenia przed wszelką inną, natomiast kongres dodaje artykuł:

3) Aby dzieci pochodzące z tego rodzaju małżeństw nie były obowiązane względem kraju w którym się zrodziły do żadnych usług i powinności wbrew ich woli.

Szczególny, niepojęty prawdziwie wynik, który wywołuje jakiś pojedyńczy wykrzyknik: „Czy my jesteśmy na kongresie socyalistycznym czy rewolucyjnym?"

Nie pozostaje tedy każdemu z tych dzieci jak tylko wstąpić w ślady rodziców, a wnuki znowu będą wolne od ciężarów i powinności i t. d. Niech żyje logika!

Po południu wygłosi współpracownik Figara p. Juliusz Bois swoją rzecz o „Kobiecie uświadomionej czyli nowej" (Le femme conscience femme nouvelle).

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TO I OWO.

✱ Wypadków nagłej śmierci z powodu lokomocyi było w Anglii w ciągu roku 1895 — 820 na drogach żelaznych, a 1,054 w powozach i wozach. Co do przejechanych przez pociągi było ich 253, a stratowanych przez ekwipaże zaprzężone końmi 372. A zatem drogi żelazne dają przypadków mniej.

Oprócz tego zginęło od pioruna 15 osób — 16 przy grze w piłkę nogą — 3 przy grze w krikieta — 41 od porażenia słonecznego. Samobójstw było ogółem 2,729, a w tem mężkich 2,052 a kobiecych 677.

✱ Zastosowanie mikroskopu do uznania twardości metali uważać można dzisiaj jako fakt spełniony. Dotąd próbowano twardości minerałów przy pomocy obleromatu, obecnie ulepszenie polega na poddaniu rys wyżłobionych przez stalę karnud albo dyament obserwacyi mikroskopowej, która pozwala oznaczyć jak najdrobiazgowiej szerokość wyżłobień dokonanych przy próbie, a tem samem stwierdzić większość lub mniejszą twardość ciała probowanego. Za szczególnie pożyteczną uważają technicy tę metodę, gdy idzie o uznanie twardości rozmaitych gatunków stali.

✱ Obserwatoryum w Saint Helier na wyspie Jersey posiada wieżę wysoką na 50 metrów, pod kopułą której ustawione są narzędzia i przyrządy astronomiczne. Ta wieża pozwoliła najpierwsza sprawdzić fakt potwierdzony następnie na wieży Eiffel, że zmiany dzienne wiatrów inaczej dokonywają się na szczycie a inaczej u stóp obserwatoryum. Między innemi jest i ta różnica także, że u stóp maximu ma miejsce zawsze o południu a w górze o północy.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Właściciel firmy

LUDWIK

wyjechał do Paryża po artykuły nowości galanteryjno-perfumeryjne.

Pracujący w firmie **Ludwik** *w Hotelu Europejskim*

Teofil, Fryzyer Damski

wyjechał do Paryża w celu zwiedzenia pierwszorzędnych zakładów fryzyerskich specyalnie Damskich i studyowania nowych Coiffur.

44411

Nieporównanej dobroci

MYDŁO TATRZAŃSKIE

w 4-ch pięknych zapachach

FIJOŁEK, RÓŻA, KONWALIA i BUKIET TATRA

specyalność

WARSZAWSKIEGO LABORATORYUM CHEMICZNEGO

Cena kop. 15.

W najwyższym gatunku 25 k. i 45 k.

Dostać można: w mag. W. L. Ch. 1) Miodowa Nr 1. 2) Graniczna Nr 2. 3) Krak.-Przedmieś. Nr 1. 4) Róg Marszałkowskiej i Wspólnej. 382910

EAU VÉGÉTALE (WODA ROŚLINNA).

Najlepsza i najpewniejsza do farbowania włosów na kolory Châtain, Brun i Noir. 42256

Od wielu lat jak środek ten pojawił się w Warszawie i coraz zjednywa sobie liczniejszy zastęp klienteli, **Eau Végétale** zaraz po użyciu zamienia osiwiałe włosy na kolor pierwotny nie brudząc ciała ani bielizny, nie pozostawia po sobie rudawych odcieni, ale nadaje kolor naturalny i trwały. **Eau Végétale** jest jedyny środek najsolidniejszy i najradykalniejszy przeciw siwiznie. Cena kompletu rs. 2.50, bez szczotek i pudełka rs. 1.80, za wysyłkę pocztową 50 k., za granicę 75 k. drożej. Upraszam osoby wypisujące, aby w listach załączały próbki swoich włosów, co da mi możność wysłania najstosowniejszej wody. Skład główny w Magazynie Fryzyerskim od 47 lat istniejącym pod firmą **T. Markowski,** Bielańska Nr 2 **W. Kwiatkowski** sukcessor, i w pierwszorzędnych Magazynach Perfumeryjnych

---

Dozwolone przez Urząd Lekarski Nr 2261, na ogólnych zasadach handlu.

LANOL usuwa **PIEGI i PLAMY** słoik rs. 1, z przesyłką rs. 1 kop. 50.

CALAMINA przeciw **Łupieżowi** 2 flakony (komplet) rs. 2.

Skład: Warszawa, ***Mokotowska 52 u Klimeckiego*** i ***Bielańska 3 u Życieńskiego*** (dawniej Nowakowska) sklep.

43846

Biuro Nauczycielskie

JADWIGI JAHOŁKOWSKIEJ

3391826

nauczycielki 2-go gimnazyum. Szkoła Froeblowska. **W Warszawie, Wspólna 40.**



MY WSZYSTKIE

używamy do naszych **GRZYWEK I BRWI TYLKO NOWEJ BRYLANTYNY „ADONIS."**

Sposób użycia przy flakonie. Świad. Warsz. Rady Lekar. Nr 4268/4415.

43646

Uznanie i poparcie jakie pracą sumienną uzyskać zdołałem, zachęciło mnie do tem gorliwszych starań i szerszej działalności.

MAGAZYN MÓJ

Ubiorów Męzkich,

egzystujący przy ulicy Ś-to Krzyzkiej № 19 (obok Poczty),

zaopatrzyłem w świeżo sprowadzony wybór materyałów zagranicznych i krajowych, gustownych i trwałych, a czerpiąc je z pierwszych źródeł, zyskuję znaczne ustępstwa, mogąc tem samem ubierać dobrze i tanio. Wszelkie obstalunki tak z własnych jak i powierzonych materyałów wykonywam starannie, gwarantując dokładne i terminowe wykończenie. W nadziei, że odwołanie się niniejsze zachęci Sz. Publiczność do korzystania z usług fachowca specyalisty, pozostaję z szacunkiem

Edward Sawicki, Krawiec.

ulica Ś-to Krzyska Nr 19 (obok Poczty). 43436

M. POZZI

ZEGARKI i BIŻUTERYA

przyjmuje zamówienia i reperacye oraz złocenia i srebrzenia. 3412226

Nowy-Świat 31 (róg Chmielnej).

Księgarnia A. KLEISINGERA

Marszałkowska Nr 123,

poleca 44311

FREY G. Wyrób sztucznych kwiatów 170 drzew., cena pierw. rs. 1, zniżona na 50 kop.

Kunkiel i Nowicki

ZAKŁAD PRZEWOZOWY

5. TRĘBACKA 5.

Przeprowadza na **letnie mieszkania,** przyjmuje meble na skład, załatwia opakowania. 44514

Najlepszy Krajowy Produkt

KAKAO

wybornego smaku, chemicznie analizowane, bez żadnych obcych domieszek, w pudełkach po kop. **90** i w puszkach po rs. **1** funt.

KAKAO na sposób Holenderski nie różniące się w niczem od oryginalnego, jak tylko o połowę tańszą ceną, funt rs. **1** k. **20** i rs. **1** k. **30**, poleca

Parowa Fabryka Czekolady

E. WEDEL,

ulica **Szpitalna N. 6**, oraz w **Filiach** przy ulicy **Wierzbowej N. 1, Granicznej N. 12** i **Długiej N. 43.**

Dostać można prócz tego w Sklepach „Merkurego" i we wszystkich Handlach Towarów Kolonialnych w Warszawie i na prowincyi. 43233

Ważne dla Pań!

Nowo-wynalezione Kuchnie Naftowo-gazowe

„PRIMUS"

bez knota, nie dające odoru, służą do gotowania, do grzania żelazek do prasowania i t. p. Nabywać można w składzie naczyń kuchennych i wyrobów żelaznych 42956

Ed. DUSOGE,

NOWY-ŚWIAT 5, w Warszawie.

SYN po literacie, w wieku lat 17, poszukuje kondycyi na wieś, a w braku takowej prosi Sz. P. Obywateli o łaskawe przyjęcie go na lato, gdyż tego nieodwołalnie potrzebuje z polecenia doktora, dla poprawienia zdrowia, w celu możności dalszego kształcenia się. Oferty proszę składać: Tarczyński, ul. Piękna 60, miesz. 4, w Warszawie.

Zakład Naukowy Żeński 6-cio klasowy

STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

W WARSZAWIE,

Krakowskie-Przedmieście Nr 2.

(Wprost Kopernika).

Przyjmuje uczennice na przychodnie, półpensyonarki i pensyonarki stałe. Warunki przystępne. Po za obowiązującym programem nauk szkolnych, kładzie się nacisk na krój, roboty ręczne, konwersacyę w obcych językach, oraz dobre wychowanie, w najwyższem znaczeniu tego słowa. Gimnastyka, muzyka, śpiew, tańce bez oddzielnej opłaty od pensyonarek. Zapis nowowstępujących uczennic odbywa się codziennie.

NAJPRZYJEMNIEJSZY PODAREK!

Wyszła w tych dniach z druku i jest do nabycia we wszystkich Księgarniach i Kioskach

Sybilla

WRÓŻKA z Gwiazdą Szczęścia.

Arcyciekawa ta książka zawiera 768 odpowiedzi na wszelkie zapytania, opracowana jest podług najcelniejszych dzieł kabalistycznych i słynnej wróżki **Le Normand.** Cena egzemplarza kop. **20**, z przesyłką kop. **25**. Z prowincyi można nadsyłać markami pocztowemi. Skład główny w drukarni W. Jasińskiego **Trębacka № 3** w Warszawie.

MAGAZYN

E. LOTH

NOWY-ŚWIAT № 69, obok kościoła Ś-go Krzyża.

43336

Zawiadamiam Szanowną Publiczność, iż magazyn mój, egzystujący lat 50 na **Krakowskiem-Przedmieściu Nr 17**, przeniesiony został na ulicę ***Nowy-Świat Nr 69,*** obok kościoła Ś-go Krzyża, wprost Kopernika.

Poleca na porę obecną w wielkim wyborze:

Kapelusze *damskie i dziecinne, filcowe i fantazyjne tak własnego wyrobu jakoteż* ***oryginalne paryzkie,*** *z ubraniem i bez tegoż.*

Kwiaty *do mód i ozdoby apartamentów, jakoteż* ***Palmy*** *sztuczne zasuszane.*

Do prania i przerabiania *przyjmują się* ***kapelusze*** *filcowe i letnie.*

Дозволено Цензурою, Варшава 8 Апрѣля 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**